

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Plaża zbawionych

KAZANIA NA CZASIE

Wydawnictwo WAM

Ludzie pierwsi i ostatni

UROCZYSTOŚĆ NIEPOKALANEGO POCZĘCIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

Rdz 3,9–15.20
Łk 1,26–38

Jeżdżąc samochodem, słucham radia. Ostatnio trafiłem na rozmowę z młodym polskim reżyserem filmów animowanych, Tomaszem Popakulem, którego nazwisko było mi dotąd nieznaną. Opowiadał o swoim filmie *Czerń* – miał zostać zaprezentowany na kolejnym festiwalu, z dużą szansą na nagrodę; reżyser ma tych nagród na koncie już wiele. Animacja powstała w Japonii i została opatrzona japońskimi dialogami – co ważne, bo właśnie ten kraj to pierwsza ofiara tego cywilizacyjnego grzechu, jakim było wykorzystanie energii jądrowej do zagłady ludzi. Filmu nie widziałem, streszczając fabułę, opieram się więc tylko na tym, co powiedział w wywiadzie reżyser. Dwoje japońskich kosmonautów – kobieta i mężczyzna, zamkniętych na statku kosmicznym, który dryfuje na orbicie okołoziemskiej, traci kontakt z Ziemią, gdzie właśnie zaczyna się ostateczny, apokaliptyczny kataklizm nuklearny. Ziemia dobiega swoich dni. Wszystko, co owi kosmonauci mogą teraz zrobić, to oglądać grzyby atomowe wyrastające na powierzchni planety. Po orbicie ziemskiej dryfują „ostatni ludzie”. Jak powiedział sam reżyser, są „odwrotnością Adam i Ewy. Tak jak byli pierwsi ludzie, ci być może są ostatni”¹.

Ten obraz „ostatnich ludzi” mnie nie opuszcza i siłą rzeczy – przez kontrast – kojarzy mi się z rajem i pierwszymi ludźmi. W czytaniu na Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny spotykamy ich, gdy Adam zjadł już owoc z drzewa zakazanego, a więc po upadku. Ci „ostatni ludzie” z japońskiej stacji kosmicznej są świadkami tego, co jest dalekim skutkiem owego pierwszego upadku, nazywanego przez nas grzechem pierworodnym, są świadkami tego, do czego on doprowadził.

Podczas dyskusji po jednej z konferencji, której tematem była przyszłość człowieka coraz bardziej uwikłanego w technologię, ks. bp Paweł Socha powiedział, że to wszystko to „doskonalenie grzechu”. Daleki jestem od tak generalnej konkluzji: że wszystko, cała technologia, cały rozwój cywilizacyjny to „doskonalenie grzechu”, ale trudno zaprzeczyć, że to wskutek działań człowieka grzech się „udoskonala”. Przecież skutkiem właśnie rozwoju technologii jest to, że kradniemy więcej, zabijamy okrutniej i precyzyjniej, zdradzamy bardziej przemyślnie, kłamiemy w bardziej zawaolowany sposób, dokonujemy samozagłady bardziej wyszukаныmi metodami, o czym przekonywał nas wiek xx i chyba niewiele się z tej lekcji historii nauczyliśmy.

„Miał być lepszy od zeszyłych nasz xx wiek” – pisała Szymborska. I nie zanosí się, by lepszy był ten, który się już zaczął – XXI. „Bóg miał nareszcie uwierzyć w człowieka / dobrego i silnego, / ale dobry i silny / to ciągle jeszcze dwóch ludzi”². A temu silnemu wciąż bliżej do zła niż do dobra. Wracając z pielgrzymki do Birmy i Bangladeszu, papież Franciszek powiedział: „jesteśmy na granicy legalności posiadania, użycia broni nuklearnej, bo dzisiaj przy tym tak wyrafinowanym arsenale nuklearnym istnieje ryzyko zniszczenia ludzkości lub przynajmniej jej części”³. Świat nigdy nie był tak blisko samozagłady. Udoskonaliśmy grzech. I wciąż go udoskonalamy.

To w kontekście takiej kondycji świata i nas samych Kościół stawia nam przed oczami obraz Maryi Niepokalanie Poczętej. Mówienie o tej niezwykłej kobiecie – Marii z Nazaretu, która została poczęta bez grzechu i – co więcej – mimo narodzenia dziecka, pozostała dziewicą, nie jest łatwe. Już sama terminologia związana z Matką Bożą nie jest prosta do przyswojenia. Sformułowany w 1854 roku dogmat głosi, że Maryja „została zachowana jako nietknięta od wszelkiej zmyzy grzechu pierworodnego”. Przymiotnik „niepokalana”, którego używamy do opisu Jej stanu, dzisiaj jest archaiczny i chyba pojawia się tylko w odniesieniu do Matki Bożej. Poza tym wywołuje on raczej uśmiech i zażenowanie, dalekie od zrozumienia. Takie słowa jak „kalać” – a od tego przecież pochodzi słowo „niepokalana” – czy „zmaza grzechu” są nam dalekie i brzmią obco. Kto z nas używa słowa „zmaza”?

A co nam mówi dogmat? Że – z jednej strony – Maryja jest kobietą jak wszystkie kobiety i człowiekiem jak wszyscy ludzie. Ale – z drugiej strony – nosi w sobie inność, ponieważ urodziła się bez skazy, z którą rodzimy się wszyscy. Urodziła się bez skłonności do grzechu. I właśnie dlatego – mimo że porodzi syna – będzie mogła pozostać dziewicą. I właśnie dlatego – mimo że miała śmiertelne i cierpiące ciało – będzie mogła z ciałem i duszą po swej śmierci zostać wzięta do nieba. Bo jest – jak mówi dzisiaj do niej anioł – „pełna łaski” (Łk 1,28), łaską wypełniona – chciałoby się powiedzieć – po brzegi, tak że nie ma miejsca na grzech i jego skutki.

Kim więc jest Maryja Niepokalanie Poczęta? Jest – jeśli można tak powiedzieć – „wspomnieniem z rajy”. Jest przypomnieniem tego, jakim był człowiek, zanim upadł, zanim zaczął doskonalić grzech. A był to człowiek, który żył w doskonałej harmonii duszy i ciała, nietargany namiętnościami, niepoddany jeszcze złu. Kościół daje nam Niepokalaną nie tylko jako „wspomnienie” z rajy, ale

także jako przypomnienie tego, jaka jest prawdziwa norma człowieczeństwa. To nie Ona, nie Maryja jest „inna” od nas wszystkich. To my jesteśmy „inni” od Niej. Ona jest wzorem człowieczeństwa przypomnianym nam przez Boga. To Ona podpowiada nam, jak być bardziej człowiekiem.

Błogosławiony Pius IX ogłosił dogmat o Niepokalanym Poczęciu w roku 1854, a już cztery lata później, w święto Zwiastowania, Maryja objawiła się Bernadecie Soubirous w nikomu jeszcze wtedy nieznaney, niewielkiej miejscowości na południu Francji – Lourdes. „Ja jestem Niepokalane Poczęcie” – tymi słowami Matka Boża przedstawiła się św. Bernadecie na jej ponawiane czterokrotnie pytanie „o imię Pani”. Ksiądz Janusz St. Pasierb tak pisał o Lourdes – wielkim sanktuarium Niepokalanej: „Posłannictwo Lourdes jest zwrócone bardziej do zdrowych niż do chorych. [...] Chorych jest tu w gruncie rzeczy niewiele – zaledwie 1,5% przybywających, i chyba bardziej niż o nich idzie tutaj o fizycznie zdrowych, których ta nieliczna garstka ambasadorów cierpienia i nędzy, mniejszych i większych od swoich klęsk, milcząc, uczy. Największe cuda Lourdes są niewidzialne. Dla mnie największym cudem Lourdes jest to, że nie ma tam samobójstw z rozpacy, że ludzie wracają stamtąd z odwagą, która pozwala dalej żyć z chorobą, cierpieć i umierać jak człowiekowi przystoi”⁴. Tam odzyskuje się człowieczeństwo. I to jest największy cud Lourdes.

Nasz świat niekoniecznie skazany jest na „ostatnich ludzi”, z wysokości kosmosu oglądających ostateczną zagładę ludzkości. Są na tej ziemi miejsca, którym bliżej do rajy, miejsca, które o nim przypominają. Tam rodzą się „pierwsi ludzie”. To nie muszą być sanktuaria. To mogą być nasze domy, parafie, wspólnoty, miejsca pracy, życia i mijania się. Miejsca, gdzie spotykamy ludzi: przyjaciół i wrogów, swoich i obcych, bliskich i dalekich, tutejszych i przybyszów, każdego człowieka. Nie trzeba wiele. W pierwszą niedzielę adwentu

Kościół modli się: „abyśmy przez dobre uczynki przygotowali się na spotkanie przychodzącego Chrystusa”. Owe „dobre uczynki” (*bona opera*) to nie tylko to, co ksiądz zwykł zadawać za pokutę dzieciom. Nie chodzi o przeprowadzanie staruszek przez jezdnię. Chodzi o coś więcej. Chodzi o dobre czyny, chodzi o dobroć naszych czynów. Nie trzeba zbyt wiele, by ocalić świat, i nie trzeba zbyt wiele, aby bliżej nam było do pierwszych niż do „ostatnich” ludzi. Wystarczy doskonalić dobro, a nie zło.

8 grudnia 2017

O Bogu, który dla nas stał się krótki

UROCZYSTOŚĆ NARODZENIA PAŃSKIEGO

Iz 52,7–10
Hbr 1,1–6
Łk 2,15–20
J 1,1–18

W adhortacji apostołskiej *Verbum Domini* (Słowo Pana) papież Benedykt XVI przywołuje sięgającą ojców Kościoła tradycję, która ukuła sugestywne wyrażenie na opisanie narodzenia Syna Bożego: „Słowo stało się krótkie”⁵. Jak tłumaczy papież, ojcowie Kościoła znajdowali te słowa w greckim tłumaczeniu Starego Testamentu, którym się posługiwali (por. Iz 10,23 LXX). A brzmiały one: „Bóg krótkim uczynił swe słowo, skrócił je”. (Dla przykładu, we francuskim tłumaczeniu Septuaginty znajdujemy tutaj wyrażenie *parole abrégée* – „słowo skrócone”. W polskim przekładzie nie zachowano oryginalnego sensu greckiej wersji).

Papież tak komentuje to wyrażenie: „Odwieczne Słowo stało się małe – tak małe, że zmieściło się w żłobie. Stało się dzieckiem, aby Słowo było dla nas uchwytnie. Słowo jest teraz nie tylko słyszalne, nie tylko posiada głos, ale obecnie Słowo ma widzialne oblicze Jezusa z Nazaretu”⁶. Istotnie, według Orygenesesa, starożytnego pisarza, „Syn Boży, wstąpiwszy w bardzo krótką postać ludzkiego ciała”, objawił „ogromną i niewidzialną wielkość Ojca”⁷. Tym greckim wyrażeniem *ho Logos pachynetai* lub *brachynetai* posługiwali się także

św. Grzegorz z Nazjanzu i św. Maksym Wyznawca, dzięki czemu na stałe zadomowiło się w teologii. Po wiekach odwołał się do tego wyrażenia Hans Urs von Balthasar, który – nawiązując do Orygenesusa – napisał, że „Słowo Boże [...] stając się człowiekiem, poślubiło ograniczoną, gęstą i nieprzenikliwą postać ciała ludzkiego”⁸. O tym teologicznie bardzo ciekawym wyrażeniu przypomniałem sobie, gdy słuchałem w radiu adwentowego rozważania diakon Aleksandry Błahut-Kowalczyk z Kościoła ewangelicko-augsburskiego, która cytowała słowa kard. Christopha Schönborna z Wiednia: „Bóg jest tak mocny, że może stać się mały jak dziecko”.

Te wszystkie koncepcje, od starożytności po współczesność, od Orygenesusa aż po von Balthasara i Schönborna, można zamknąć w słowach papieża Benedykta XVI tak opisujących tę tajemnicę: „Ta ustepliwość Boga urzeczywistnia się w sposób niepowtarzalny we wcieleniu Słowa. Odwieczne Słowo, które wyraża się w stworzeniu i przemawia w dziejach zbawienia, stało się w Chrystusie człowiekiem «zrodzonym z Niewiasty» (por. Ga 4,4)”⁹.

„Ustepliwość Boga” – to piękne wyrażenie ukazuje nam przedziwną ekonomię Stwórcy, który – choć jest wszechobecny i wszechmocny – decyduje się na niezwykle samoograniczenie, przybiera postać dziecka, które – jak to dziecko – jest małe, a więc niewszzechobecne, i bezbronne, a więc niewszzechmogące. „Moc truchleje” – jak śpiewamy w kolędzie. Ewangelia według św. Łukasza, którą czytamy na pasterce, wyraża to bardzo konkretnie i obrazowo: „położyła Go w żłobie” (Łk 2,7). Święty Jan, którego Ewangelię czytamy w ciągu dnia, to samo powie nieco bardziej abstrakcyjnie: „Słowo stało się ciałem” (J 1,14). Dodajmy: ciałem tak „krótkim”, tak małym, że się zmieściło w żłobie.

Mówię o tym, dlatego że w każdym z nas – a na pewno we mnie – jest jakiś lęk przed Bogiem, który jak nam się często wydaje,

ma tendencje do wypełniania sobą świata, do wypełniania przestrzeni: tej fizycznej czy geograficznej, tej duchowej, filozoficznej, politycznej, a może nawet i prawnej. Ale nie – taką lekcję wyciągam, wpatrując się w to „skrótowe Słowo” położone w żłobie – Bóg się nie rozpycha, nie chce nami zawładnąć, nie chce zająć całego naszego terenu, nie chce nas zawłaszczyć. Przeciwnie: ma w sobie ustępliwość, wycofuje się, dokonuje nieustannego samoograniczenia, staje się krótki i mały, by się zmieścić w naszym szczelnie wypełnionym życiu. „Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba” – śpiewamy w pieśni eucharystycznej. Ale wiele Mu tego miejsca nie trzeba, wystarczy żłób.

I chyba trzeba tutaj wyraźnie powiedzieć, że to raczej Kościół, a nie sam Bóg, ma tendencję do tego, by się rozpychać. Bo – choć boski – składa się z ludzi i ludzkiego pragnienia dominacji, władzy, panowania, przed czym tak bardzo przestrzega nas wszystkich papież Franciszek. To dlatego może do Kościoła adaptować „logikę spisków i małych kręgów” – jak to papież określił w przemówieniu do Kurii Rzymskiej¹⁰. Bo Kościół – choć jest mistycznym ciałem Chrystusa – tworzą ludzie. Jak to w jednej ze swoich katechez powiedział ks. Grzegorz Strzelczyk, „Kościół jest prowizorką, to nie jest Królestwo Boże” – ze wszystkimi tego konsekwencjami, naznaczeniem naszą słabością¹¹. I zdarza się, że zasłania nam sobą nawet radość Ewangelii, radość z Narodzenia Pana.

Ale wróćmy do betlejemskiej stajni. Ostatnio słuchałem rekolekcyjnego kaznodziei, który wyzywał strasznie (jakby czytał z kartki ze słynnej niemieckiej anegdoty o kaznodziei, który w każdym kazaniu miał w pewnym miejscu to samo zalecenie: *Und jetzt schimpfen!* – „A teraz wyzywać!”...). A wyzywał strasznie, pomstował na reklamy z Bożym Narodzeniem w tle, na galerię handlowe z kolędami puszczanymi już od andrzejek, na choinki stojące na placach miejskich

od pierwszego dnia adwentu. Grzmiał, że ukradziono nam Boże Narodzenie. A ja nie pomstuję. Raczej sobie myślę, że to jest – świadome czy nieświadome, ale jednak jakieś wielkie czekanie. Świat na Kogoś czeka. „Wielkie jest czekanie, gdy masz przyjść / Wielkie jest pragnienie, gdy masz przyjść / Wielka jest nadzieja, gdy masz przyjść / Wielka modlitwa, gdy masz przyjść” – jak śpiewa o miłości Maja Kleszcz z zespołu – *nomen omen* – IncarNation¹². Czy z przychodzącym Bogiem nie jest jak z czekaniem na ukochanego?

Chcąc nie chcąc, szykujemy Mu złób, by się zmieścił, zostawiając sobie do dyspozycji całą – trzymajmy się tej metafory – stajnię. To jest ta przestrzeń zostawiona nam przez Boga, którą trzeba zagospodarować, ogarnąć, posprzątać, może czasami wyremontować i cokolwiek jeszcze trzeba będzie tam zrobić. Bóg rodzi się w stajni, to znaczy pośrodku takiego życia, jakie ono jest. Nie trzeba dużo wyobraźni, by sobie uświadomić, co może się znajdować w stajni i jaki może tam panować zaduch. „Zapach owiec”, o którym tak często mówi papież Franciszek, to nie piżmo do wyrobu perfum. Pośrodku tego wszystkiego rodzi się Bóg. Ale to właśnie Jego obecność czyni z tej stajni dom. Trzeba się zająć dzieckiem, trzeba je nakarmić, ogrzać, przebrać, ochronić, ułożyć do snu. Życie stajni zaczyna się kręcić wokół Dziecka. Nie trzeba wiele, by przekształcić stajnię w dom. Trzeba tylko zacząć się o siebie troszczyć. Porodziła, owinęła i położyła – ten prosty opis matczynych czynności zawiera w sobie kwintesencję troski. Są tu przecież i ból, i miłość, i niepokój, i bezpośredniość dotyku. W tym coraz bardziej rozczłonkowanym świecie, gdzie żyjemy coraz bardziej obok siebie niż ze sobą, troska, bliskość i bezpośredniość to betlejemski sposób na przekształcanie stajni tego świata w dom.

Święty Maksym Wyznawca mówił, że w życiu chrześcijanina „Słowo się kondensuje przez cnoty”. Inaczej rzecz ujmując: Słowo się

skraca do granic naszej dobroci. A papież Benedykt XVI podczas pasterki w roku 2006 mówił: „Jezus uczynił krótkim Słowo. Pozwolił nam zobaczyć jego najgłębszą prostotę i jedność. Wszystko to, czego nauczają nas Prawo i Prorocy, streszcza się w słowach: «Będziesz miłował Pana Boga swego z całego serca [...], a bliźniego swego jak siebie samego». To jest wszystko: cała wiara streszcza się w tym jednym akcie miłości, który ogarnia Boga i ludzi”¹³. Bóg jest „krótki” i żąda od nas „krótkiej” wiary. A ona jest aktem miłości. „To jest wszystko” – jak mówił papież. Niewiele trzeba: trochę miejsca i chwili troski. Wtedy rodzi się Bóg.

25 grudnia 2017

Matka Boża od Wykupu Niewolników

UROCZYSTOŚĆ ŚWIĘTEJ BOŻEJ RODZICIELKI MARYI

Lb 6,22–27
Ga 4,4–7
Hbr 1,1–2
Łk 2,16–21

O nowożytnym niewolnictwie wiemy niewiele. Na pewno nie wiemy nic z autopsji, z własnego doświadczenia. Nikt z nas nie był niewolnikiem. Nie mamy pojęcia, co to znaczy być człowiekiem, który nie jest traktowany jak osoba, lecz jak rzecz. I Bogu niech będą dzięki, że nie wiemy. Niewolnictwo znamy może z powieści *Chata wuja Toma*, może z powieści czy serialu *Korzenie* albo też z filmu *Amistad* o buncie czarnoskórych niewolników na statku w drodze do Ameryki. I choć niewolnictwo formalnie zostało zakazane we wszystkich krajach świata, to wiemy, że wciąż istnieje, choć w bardziej ukrytych formach, takich jak handel dziećmi czy zmuszanie kobiet do prostytucji. Istota niewolnictwa sprowadza się do urzeczowienia człowieka. Niewolnik jest przedmiotem czyjejś własności. Nie należy do siebie, ale do kogoś innego. Konwencja Genewska z 1926 roku definiuje niewolnictwo jako „stan lub położenie jednostki, względem której stosowane jest postępowanie w całości lub w części wynikające z prawa własności”¹⁴. Niewolnik może być zbywany, czyli sprzedawany, darowany, kupowany, użyczany, oddawany w zastaw. Można zrobić z nim wszystko, co robi się z rzeczą. Z punktu widzenia prawa takie

praktyki są dzisiaj zabronione i stanowią przestępstwo. Faktycznie zaś wciąż mają zastosowanie. Wciąż istnieje handel kobietami i dziećmi, które sprzedaje się do niewolniczej pracy.

Starożytny judaizm też znał niewolnictwo. Najczęściej niewolnikami byli jeńcy wojenni, rzadziej sami Hebrajczycy, którzy niejednokrotnie dobrowolnie sprzedawali się w niewolę, by zapewnić sobie byt. Ich sytuacja była jednak zbliżona do położenia członków rodziny pozostających pod taką samą władzą pana domu. Zabójstwo niewolnika było karane, a okaleczony przez swojego pana, odzyskiwał wolność. Czy o takim niewolnictwie myślał św. Paweł, gdy pisał w Liście do Galatów: „A zatem nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej” (Ga 4,6)? Nie wiadomo, wszak apostoł pisał do nawróconych pogan, a nie do Żydów. Może Galaci mieli przed oczami obraz niewolników, jaki znali z rodzin rzymskich? Tak czy inaczej, wiedzieli, co to niewola, niewolnictwo, wyzwolenie, wykup.

Stanem niewolnictwa św. Paweł określa podległość Prawu. Było to zapewne echo bardzo żywej wówczas kontrowersji, która poróżniła go nawet ze św. Piotrem. Chodziło o pytanie, czy pogaanie – zanim dostąpią chrztu w imię Jezusa – powinni zostać najpierw obrzezani i poddani żydowskiemu Prawu, czy też nie. Paweł utrzymywał, że „Gdy nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z Niewiasty, zrodzonego pod Prawem, aby wykupił tych, którzy podlegali Prawu, byśmy mogli otrzymać przybrane synostwo” (Ga 4,4–5).

Podległość Prawu to stan niewolnictwa, z którego zostaliśmy wykupieni narodzinami, śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa. Nie ma więc sensu dać się obrzezać, a tym samym popaść w nowe niewolnictwo. Prawo ani bowiem nie chroniło człowieka przed niewolą grzechu, ani nie miało mocy, by człowieka z tej niewoli

wyzwolić. Co więcej, przez mnożenie przykazań, zasad, reguł, nakazów i zakazów jedynie potęgowało stan niewolnictwa. Przecież im więcej przykazań, tym łatwiej o grzech. Im więcej reguł, tym łatwiej o niewolę.

Dlaczego mówię dzisiaj o niewolnictwie? Czytam właśnie powieść biograficzną o świętej niewolnicy Bakhicie¹⁵. Przyszła święta urodziła się w roku 1868 w obecnym Sudanie Południowym, zmarła w roku 1947 jako zakonnica we Włoszech. Porwana przez handlarzy niewolników jeszcze w dzieciństwie, była niewolnicą u kilku panów, także u Europejczyków, by po trzynastu latach zostać uznaną przez włoskiego urzędnika królewskiego za wolną.

Słowem, które najczęściej padało z jej ust, był arabski wyraz *asfa*, żeńska forma słowa „przepraszam” (*asef* – r.m.). Całe swoje niewolnicze życie spędziła w poczuciu strachu, że jest niewystarczająco posłuszna swojemu panu czy pani oraz rozkazom, które są jej wydawane. Żyła ze świadomością, że stanowi cudzą własność i można nią rozporządzać, jak się chce, a w razie nieposłuszeństwa – dowolnie karać. Ewentualnie można było mieć nadzieję, że któryś „ludzki pan” da się przebłagać padaniem do nóg, prostracją, ucałowaniem stóp, błaganiem: *Asfa!*

Kiedy Bakhita przygotowuje się do chrztu, w jej sercu i umyśle musi się dokonać zmiana, która wciąż wydaje się jej niemożliwa. Początkowo o swej nowej relacji z Bogiem nie potrafi myśleć inaczej jak o nowym niewolnictwie, z tą tylko różnicą, że odtąd już nie będzie poddana ludzkim potworom, ale Bogu. Nie może uwierzyć, że dzięki łasce chrztu ostatecznie porzuci wszelkie niewolnictwo, nie tylko to prawne, lecz także duchowe – że zostanie córką Boga.

Jednym z kluczowych momentów w jej życiu była chwila, gdy po raz pierwszy zobaczyła wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa. Patrzyła na Niego, na krew spływającą po korpusie, otwarte serce,

gwoździe w rękach i w nogach. Dla niej było czymś oczywistym, że to niewolnik. Przecież nieraz widziała zabijanych i krzyżowanych niewolników. Człowiekowi wolnemu nikt by czegoś takiego nie zrobił. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że On sam się uczynił niewolnikiem, by nas z niewoli wybawić. Ale właśnie to, że ktoś chciał być kimś takim jak ona, okazało się najbardziej dla niej przekonujące. „On chce być tam, gdzie my być musimy” – powiedziała. Jeszcze wtedy nie wiedziała nic o grzechu jako niewolnictwie duchowym, ale miała świadomość, co to znaczy nie być człowiekiem wolnym.

Może dlatego w dniu chrztu myślała o swojej matce, o życiu przed porwaniem, kiedy była jeszcze córką, dzieckiem, a nie niewolnicą. Chrzest przyjęła 9 stycznia 1890 roku z rąk patriarchy Wenecji. Czy nie do niej pisał św. Paweł: „Na dowód tego, że jesteście synami, Bóg zesłał do serc naszych Ducha Syna swego, który woła: «Abba, Ojcze!» A zatem nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej” (Ga 4,6–7). Nie miała już żadnych ziemskich panów, zyskała Ojca w niebie.

W pierwszy dzień nowego roku obchodzimy uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki Maryi, która zrodziła Boga. Jest taki tytuł Matki Bożej, który zawsze wydawał mi się egzotyczny: Matka Boża od Wykupu Niewolników. Ten tytuł odnosi się do różnych wydarzeń i kontekstów, w zależności od tego, w jakim kraju i w jakiej kulturze oddawany jest kult. W Polsce – dla przykładu – obraz Matki Bożej od Wykupu Niewolników można podziwiać w kościele pw. św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty w Krakowie. W każdym przypadku chodzi o jakieś zdarzenie powiązane z wykupieniem kogoś ze stanu niewolnictwa i obdarzeniem go wolnością.

Ale przecież nie tylko o taki wykup chodzi. Chodzi także o duchowy wykup ze stanu niewoli grzechu. O ten wykup, który rozpoczął się Zwiastowaniem, światu został objawiony przez Narodzenie,

a dokonał się za sprawą całego życia Jezusa – po śmierć i zmartwychwstanie. To właśnie o tym będziemy śpiewać w pieśni pasyjnej: „W jasełkach leżąc, gdy płakał, / Już tam był wszystko oglądał, / Iż tak haniebnie umrzeć miał, / Gdy wszystek świat odkupić chciał”. Przyszedł, bo chciał odkupić, a w kontekście czytania z Listu do Galatów możemy powiedzieć: wykupić od niewoli grzechu, „byśmy mogli otrzymać przybrane synostwo” (Ga 4,5). Tak, Boża Rodzicielka jest prawdziwie „od Wykupu Niewolników”, bo Jej Syn jest naszym wykupem. Dzięki Niemu jesteśmy wolni i tylko czasami – gdy popadamy w grzech – przypominamy sobie, co to znaczy być niewolnikiem. A wtedy w naszym umyśle zamiast Ojca, który kocha, pojawia się pan, który żąda posłuszeństwa. A z naszych ust, choćbyśmy nie chcieli, wyrывa się – niczym z ust niewolnicy – *Asfa!* Bakhita mówiła, że Bóg to nie tylko żądający posłuszeństwa *le Patron* – Pan, ale przede wszystkim *le Pardon* – Przebaczenie.

To jest perspektywa, którą roztacza przed nami Kościół u progu nowego roku kalendarzowego. Najpiękniej wyraża ją Aaronowe błogosławieństwo: „Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech Pan zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy pokojem” (Lb 6,24–26). Nasz Bóg jest Panem. Ale to nie jest pan od niewolników, nawet nie ten „ludzki pan”, który mógł ukarać, a nie ukarał. To Pan, do którego żyjący w nas Chrystus pozwala wołać: „Abba, Ojcze!”. Bo to przecież nad dziećmi ojciec rozpromienia swoje oblicze, a nie nad niewolnikami. Wszyscy jesteśmy wyzwolencami Boga. Błogosławionego nowego roku!

1 stycznia 2018

Światło Ofiarowania

ŚWIĘTO OFIAROWANIA PAŃSKIEGO

Hbr 2,14–18
Łk 2,22–40

Ta scena miała szansę stać się sielankowym obrazkiem: młode małżeństwo, kilkutygodniowe dziecię, dwoje starców biorących je kolejno w ramiona, gołąbki w koszu i sceneria monumentalnej świątyni. Niestety, sielanka szybko ustąpiła miejsca niepokojowi, a na radosnym dniu ofiarowania przyszłość położyła się smutnym cieniem. Słowa o znaku, „któremu sprzeciwiać się będą” (Łk 2,34), i o mieczu, który przeniknie serce Maryi, musiały niepokoić. „A Jego ojciec i Matka dziwili się temu, co o Nim mówiono” (Łk 2,33). Dziwili się, bo niewiele z tego rozumieli. Wciąż uczyli się tego, kim jest ich Syn. I mieli się tego uczyć jeszcze długo, najpierw w Nazarecie, gdzie „Dziecię [będzie] rosło i nabierało mocy, napęlniając się mądrością, a łaska Boża [będzie] spoczywała na Nim” (Łk 2,40). A Matka będzie się uczyć jeszcze dłużej, bo aż do wypełnienia się proroctwa o mieczu przeszywającym Jej serce, aż do krzyża.

Symeon wiedział o Nim o wiele więcej niż Jego rodzice. Święty Łukasz pisze, że „Duch Święty objawił, że [Symeon] nie ujrzy śmierci, aż nie zobaczy Mesjasza Pańskiego” (Łk 2,26), ale chyba objawił mu nie tylko to, lecz więcej, znacznie więcej – całą przyszłość

Mesjasza, może nawet zbawienie, które stanie się światłem dla narodów i chlubą dla Izraela. Tylko czy Symeon chciał zobaczyć Jego przyszłość? T.S. Eliot w *Pieśni dla Symeona* maluje obraz proroka, który nie chce przeżyć tego, co widzi oczyma swej natchnionej duszy. Chce odejść

Nim nadejdzie czas sznurów i biczowania, i lamentów, [...]

Nim nadejdzie czas krzyżowych stacji na wzgórzu opuszczenia,

Nim nadejdzie godzina matczynego smutku [...] ¹⁶.

Jak pisze Ryszard Przybylski w *Homiliach na Ewangelię Dzieciństwa*, „Symeon boi się dramatu Krzyża. Nie chce być świadkiem tragedii na Golgocie. W pewnym sensie jest szczęśliwy, że śmierć wybawi go od tego strachu i uwolni od tego smutku. W proroczym widzeniu widzi męczarnie Pomazańca i Jego Matkę Stojącą pod krzyżem”¹⁷. Wie, że ofiarowanie w świątyni to tylko początek, zapowiedź, bezkrawa antycypacja tego, co stanie się na Golgocie, owego Ofiarowania, które dokona się na krzyżu. Ale – jak w tym wypadku – łaska widzenia przyszłości czasami staje się przekleństwem. Symeon patrzy na niczego nieświadomych Jezusowych rodziców, którzy „dziwili się temu, co o Nim mówiono”.

I przyjdzie im w tym tajemniczym zadziwieniu trwać wiele lat, aż wyjdą na jaw zamysły serc wielu, zamysły, które zaprowadzą Go na Miejsce Czaszki, „aby przez śmierć pokonać tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, to jest diabła” – jak pisał autor Listu do Hebrajczyków (Hbr 2,14). On, Symeon, o tym wie. Józef i Maryja – nie. Na długie lata zwiedzie ich serca nazaretańska sielanka, gdy będą z radością patrzeć na Dziecię – jak rośnie, nabiera mocy, napelnia się mądrością i – choć o tym nie wiedzą – jak przygotowuje się do czegoś okrutnego, z czego nie zdają sobie jeszcze sprawy. Ale to dobrze, że nie wiedzą. To bardzo dobrze. Bo jak wychować dziecko,

o którym wiadomo, że będzie skazane na śmierć? Jak je chronić, gdy się wie, że się go nie ustrzeże?

Widzenie Symeona wykracza jednak poza miecz, krzyż i znak, „któremu sprzeciwić się będą”. Są w tym proroctwie wszystkie narody, dla których Jezus stanie się „światłem na oświecenie”. Gdy kilka wieków wcześniej prorok Izajasz pisał: „Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłyśło” (Iz 9,1), to myślał nie tylko o ówczesnym Izraelu, ale też o każdym narodzie, o każdym ludzie, o każdym człowieku, który pozwoli się oświecić światłem przyniesionym przez Mesjasza. O nas. O mnie. Wezmę więc dzisiaj za swoje słowa Ernesta Brylla, które wyśpiewała niegdyś Krystyna Janda: „W ciemność, nieznaną dokładnie nikomu / Wyszliśmy ze świeatełkiem wiary z naszych domów”¹⁸. I jak dalekośmy z tym światłem, z tą wiarą doszli? Jak daleko jeszcze dojdziemy? Jak wysoko?

Eliot w swoim wierszu *Pieśń dla Symeona* tak mówi o pokoleniach, które przyjdą po Mesjaszu:

Będą cię chwalić i tracić w każdym pokoleniu,
Sławiąc i szydząc,
Światłość ponad światłości, wchodząc po drabinie świętych.

Obraz drabiny świętych jest zaczerpnięty ze słynnego dzieła św. Jana zwanego Klimakiem (VI/VII w.) *Drabina do rajy*. Drabina ta liczy trzydzieści szczebli oznaczających kolejne stopnie świętości, które trzeba pokonać, by dostąpić zbawienia. Jest taka syryjska ikona – ilustracja dzieła św. Jana, która ukazuje drabinę i ludzi po niej wchodzących, a także – niestety – spadających z niej. Jak pisze przywołany już Przybylski, „najbardziej przejął mnie ten człowiek, który dobrnął już do dwudziestego czwartego szczebla i tutaj pozwolił szatanowi zarzucić sobie sznur na głowę i runął do piekła.

Najbardziej zaś rozradował ten, który z dwudziestego szóstego szczebla pcha się od razu na dwudziesty ósmy, ponieważ Jezus już jest blisko i wyciągnął do niego rękę¹⁹. Jak pisze dalej Przybylski, „Symeon już wie, że jest za późno, że nie stanie nawet na pierwszym z tych schodów. Ominie go bohaterstwo i męczeństwo wyznawców Chrystusa²⁰. Odejdzie przed Jezusem. Uprzedzi Jego śmierć. Przecież, jak mówi o nim Eliot, „ma osiemdziesiąt lat, ale nie ma jutra”.

Nie wiem, na którym szczeblu drabiny świętych jestem. I nie trzeba tego wiedzieć. Może wciąż na pierwszym. Trzeba się po prostu po niej wspinać ze „świątecznym wiary”. Jednej zakonnicy, gdy pytała swego ojca duchownego, na którym stopniu doskonałości już jest, mądry kapłan powiedział: „Siostra to się jeszcze trzyma diabłego ogona”. Można – jak widać – uchwycić się go i na cztery szczeble przed szczytem. To taka przestroga dla tych, którzy się uważają za świętych. A poza tym każdy ma swoją drabinę i chyba nikt nie wie, co go czeka na kolejnym stopniu. „Nie dla mnie męczeństwo, ekstaza myśli i modlitwy” – zarzekał się Symeon w poemacie Eliota. I ja go w tym lęku przed męczeństwem rozumiem, a przecież nie ma innej drogi, by pójść za Jezusem, niż zostać Jego naśladowcą. Ja też się boję krzyża, ale wiem, że Ofiarowanie to nie tylko kolejna zapowiedź Męki, lecz także gwarancja Jezusowego światła. Nie wiem, kiedy i jak potoczy się moje własne ofiarowanie. Nie wiem, czy dopiero wnieśli mnie do świątyni, czy wciąż jeszcze rosnę i nabieram mocy w swoim Nazarecie, czy może gdzieś już zbijają mi jakiś krzyż. Nie wiem. Tylko tego światła jestem pewien.

2 lutego 2018